

Ulepszanie polskiego „bonu oświatowego”

15 kwietnia 2019

Niektórzy politycy i publicyści upatrują receptę na niedomagania polskiej oświaty w tzw. bonie edukacyjnym, to znaczy systemie, w którym kwota środków publicznych przypadających na danego ucznia przydzielana jest szkole, która zostanie wybrana dla niego przez rodziców/opiekunów (czy też jego samego, jeśli jest pełnoletni) – czy to publicznej, czy prywatnej. Zgodnie z tą koncepcją, państwo wyposaża uczniów w bony, którymi oni lub ich rodzice/opiekunowie płacą szkołom, a następnie wykupuje te bony od szkół. Szkoły prywatne mogą, choć nie muszą, żądać dodatkowego czesnego.

Według zwolenników tej koncepcji, spowodowałoby to realną konkurencję o uczniów między szkołami (również publicznymi i prywatnymi), co podniosłoby jakość kształcenia. Zwiększyłoby również swobodę wyboru szkół przez uczniów i ich rodziców lub opiekunów, ponieważ duża część (jeśli nie całość) czesnego w szkołach prywatnych byłaby pokrywana z „bonu”.

Taki system proponowali już wiele lat temu politycy AWS czy (początkowo) PO, teraz proponują go m. in. Jacek Wilk, Konrad Berkowicz czy Robert Gwiazdowski. Bon edukacyjny znajduje się również w programie Ruchu Narodowego. Z publicystów pomysł ten popierają np. Łukasz Adamski czy Bartosz Bartczak.

Mało kto jednak uzmysławia sobie, że taki system – choć bez fizycznych bonów – już, w większej części, od wielu lat w Polsce istnieje.

Subwencja oświatowa z budżetu państwa, którą otrzymują samorządy, jest ostatecznie rozdzielana w dotacjach na szkoły (publiczne i niepubliczne) proporcjonalnie do liczby uczniów. Publiczne i niepubliczne szkoły tego samego typu (np. podstawowe) na ucznia tego samego typu (np. nie

niepełnosprawnego) dostają pośrednio z budżetu państwa tyle samo (nie dotyczy to szkół prowadzonych bezpośrednio przez państwo, ale ich nie jest dużo). Pieniądze z budżetu państwa więc „idą za uczniem” dokładnie tak jak w przypadku proponowanego „bonu edukacyjnego”.

Resztę dopłacają w przypadku szkół prywatnych rodzice uczniów w czesnym, a w przypadku szkół publicznych oraz niepublicznych należących do podmiotów będących własnością samorządów (np. samorządowych spółek) samorządy ze środków „własnych” (tzn. niepochożących z subwencji oświatowej). Z „mapy wydatków państwa” za rok 2016 wynika, że wydatki samorządów na szkoły wynosiły ok. 63 mld zł. Subwencja oświatowa w tym samym roku wynosiła ok. 41,5 mld zł. Oznacza to, że subwencja oświatowa pokrywa średnio mniej więcej 2/3 kosztów funkcjonowania szkół i w tym zakresie funkcjonuje, można powiedzieć, „wirtualny bon oświatowy”.

Jednak „środki własne” przeznaczane na szkoły przez samorządy to też środki publiczne, pochodzące z podatków. Oznacza to, że szkoły publiczne (i niepubliczne będące własnością podmiotów samorządowych) otrzymują większe dofinansowanie ze środków publicznych niż prywatne. „Wirtualny bon” z założenia nie pokrywa (średnio) kosztów utrzymania szkół, więc czesne w szkołach prywatnych jest wyższe, niż gdyby mogło być w przypadku otrzymywania przez nich dofinansowania takiego, jakie otrzymują szkoły publiczne i niepubliczne samorządowe. Rodzice posyłający dziecko do szkoły prywatnej i tak muszą dopłacać w podatkach do szkół publicznych, będąc jednocześnie zmuszonymi płacić to samo w czesnym. W efekcie konkurencja jest zaburzona, wielu ludzi nie stać na płacenie wysokiego (zwykle kilkaset złotych miesięcznie lub więcej) czesnego, a szkoła prywatna musi zaoferować różnicę w jakości kształcenia wycenianą przez „klienta” na co najmniej wartość tego czesnego.

Tak naprawdę realizacja postulatu wprowadzenia „bonu edukacyjnego” sprowadzałaby się w tej sytuacji do

przeznaczenia dla szkół prywatnych dodatkowych środków publicznych w wysokości równej tym, jakie dodatkowo poza subwencją oświatową otrzymują obecnie szkoły publiczne oraz niepubliczne należące do podmiotów samorządowych – bądź też „obciążenia” tych dodatkowych środków tym ostatnim. To drugie rozwiązanie oznaczałoby zmuszenie do płacenia dość wysokiego czesnego również w szkołach publicznych i (pomijając niezgodność z obecną Konstytucją) byłoby, w warunkach obowiązku szkolnego, dodatkowym podatkiem narzuconym na rodziny uczniów. Nieakceptowalność społeczna tego rozwiązania jest raczej oczywista. Praktycznie pozostaje więc rozwiązanie pierwsze, które można zrealizować albo ze środków samorządowych (pozostawiając samorządom wolną rękę bądź im to nakazując – należy tu jednak zwrócić uwagę, że zmuszenie samorządów do równego dotowania uczniów we wszystkich szkołach ze środków własnych naruszałoby ich autonomię i mogłoby być uznane za niekonstytucyjne), albo ze środków budżetu państwa. W tym drugim przypadku nie można jednak faworyzować szkół prywatnych (tzn. doprowadzić do sytuacji, w której podobna kwota dofinansowania na ucznia w przypadku szkoły prywatnej pokrywana jest w całości ze środków budżetu państwa, a w przypadku szkoły samorządowej częściowo ze środków budżetu państwa, a częściowo ze środków samorządu). Oznacza to, że subwencja oświatowa musiałaby być zwiększona nie tylko o dodatkowe środki dla szkół prywatnych, ale i o te środki, które obecnie na szkoły przeznaczają samorządy – łącznie o jakieś dwadzieścia kilka miliardów złotych. Jeżeli nie chce się zwiększać deficytu budżetowego ani zwiększać podatków, to środki te trzeba byłoby komuś zabrać – samorządom (które nie będą już musiały dopłacać ze środków własnych do szkół) lub innym dziedzinom finansowanym z budżetu centralnego. Okazuje się więc, że wprowadzenie pełnego „bonu edukacyjnego” wymagałoby zarazem reform w dziedzinie finansów publicznych.

Pytanie też, czemu równemu finansowaniu ze środków publicznych nie miałyby podlegać również edukacja domowa? Obecnie jest ona dozwolona i traktowana jako szczególny przypadek edukacji

szkolnej (za zezwoleniem dyrektora szkoły), a dofinansowanie otrzymuje szkoła, do której formalnie jest zapisany uczeń, a nie jego rodzice/opiekunowie na zakup podręczników lub pomocy edukacyjnych czy zatrudnianie nauczycieli/korepetytorów. Jeżeli edukacja domowa ma być realną alternatywą dla edukacji szkolnej, to dofinansowanie z subwencji oświatowej/„bonu” powinno być przeznaczane na faktyczne koszty kształcenia ucznia w domu.

Należy w końcu zauważyć, że konkurencja między szkołami nie będzie pełną konkurencją nawet w przypadku równego finansowania szkół publicznych i prywatnych ze środków publicznych, dopóki będą musiały one realizować podobny, narzucany przez państwo program. Owszem, szkoły mają w tym zakresie pewną autonomię, ale jednak podstawa programowa obowiązuje wszystkie. „Poluzowanie” podstawy programowej lub całkowite odejście do niej na rzecz swobodnego ustalania programu przez same szkoły pozwoliłoby na większe dopasowanie oferty edukacyjnej do zapotrzebowania i predyspozycji uczniów, i wprowadziło rynkową konkurencję również na poziomie programowym. Jeśli „bon” (fizyczny czy wirtualny) ma spełniać swoją funkcję, to powinien służyć finansowaniu każdej edukacji wybranej przez ucznia czy jego rodziców, a nie tylko tej wg ścisłych wytycznych urzędników.

Autorstwo: Jacek Sierpiński

Źródło: Sierp.Libertarianizm.pl

Bibliografia

1. <https://korwin-mikke.pl/wazne/wilk-oglasza-piatke-wilka/>
2. <https://gazetakrakowska.pl/wybory-samorzadowe-2018-konrad-berkowicz-zapowiada-bon-edukacyjny-na-szkoły/ar/13567366>
3. <https://sejmlog.pl/gwiazdowski-rozwiazaniem-problemu-plac-nauc>

zycieli-jest-bon-edukacyjny/

4. <https://bit.ly/2TVkv5X>

5. <https://bit.ly/2Iw420D>

6 .

<https://wpolityce.pl/polityka/442144-dyskutujemy-o-szkole-wprowadzmy-w-koncu-bon-edukacyjny>

7 .

<https://www.gosc.pl/doc/5457476.Bon-edukacyjny-na-problemy-oswiaty>

8 .

http://www.mapawydatkow.pl/wp-content/uploads/2017/11/mapa-wydatkow-2016-980x680_150dpi-01.png

9 .

https://fio.org.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=522:samorzady-wprowadzaja-bon-oswiatowy-wspolnota&catid=100:media-o-nas-do-roku-2006-&Itemid=267